

KSIĄŻKA I MŁODZIEŻ WIEJSKA

W procesie kształtowania aktywnej postawy młodzieży książka spełnia niezmiernie ważną rolę. Stąd też w programie ZMW wiele miejsca poświęcono formom i metodom działania, które wyrabiają nawyk czytania wśród młodzieży wiejskiej. Trudno spodziewać się efektów szkolenia oświatowo-politycznego, prowadzonego w oderwaniu od konkretnej literatury społeczno-politycznej, nie sposób liczyć na wyniki w zespole przysposobienia rolniczego, jeśli jego uczestnicy nie będą korzystać z niezbędnej literatury fachowej.

Jedyną drogą awansu społecznego młodego człowieka na wsi i w miastach jest zdobycie wiedzy ogólnej i zawodowej. Tymczasem niektórzy po ukończeniu 8-latk nie podejmują dalszej nauki, zrywają zupełnie z książką. Na wsi rzeszowskiej mieszka ponad 20 tys. młodych ludzi w wieku od 15—30 lat nie uczących się i niepracujących.

Wysiłki w zakresie popularyzacji czytelnictwa, jakie podejmuje ZMW wspólnie z siecią bibliotek publicznych oraz instytucjami prowadzącymi kolportaż przynoszą pewne wyniki. Wzrasta bowiem liczba młodzieży korzystającej z bibliotek gromadzkich, poszerza się grono kompletujących własne biblioteczki. Niemniej jednak stan czytelnictwa wśród młodzieży wiejskiej jest jeszcze niezadowalający.

W kwietniu br. Wojewódzka Biblioteka Publiczna przeprowadziła badania ankietowe, dotyczące stanu czytelnictwa wśród młodzieży zrzeszonej w ZMW. Badaniami objęte zostały wszystkie gromadzkie i wiejskie biblioteki publiczne.

Na terenie województwa rzeszowskiego działa ponad 600 bibliotek gromadzkich i wiejskich oraz około 1100 punktów bibliotecznych. Jeśli do tego dodamy biblioteki szkolne i zakładowe, możemy stwierdzić, że jest to wystarczająca sieć usług, z których może korzystać każdy członek ZMW. Natomiast z ankiet wynika, iż czytelnikami bibliotek publicznych jest około 40 proc. członków ZMW.

W okresie, który uwzględniony został podczas badań, bibliotekarze wykazali, iż jedynie 2 280 razy wykładowcy szkolenia oświatowo-politycznego prowadzonego w kołach ZMW korzystali z pomocy bibliotek w realizacji programu szkolenia. 4 300 członków ZMW brało udział w konkursach czytelnictwa — „Złoty kłosa dla twórcy, srebrne dla czytelników”, „Bliżej teatru” i inne, około 20 000 młodzieży uczestniczyło w odczytach oraz spotkaniach autorskich i wieczorach literackich organizowanych przez biblioteki.

Literatura współczesna pomimo, że zapotrzebowanie na nią szczególnie wśród młodzieży jest duże, rzadziej trafia do czytelników. Problem polega na tym, że jeszcze zbyt mało książek współczesnych znajduje się w bibliotekach i klubach, jak i w sprzedaży. „Dom Książki” oraz „Ruch” nie są w stanie zrealizować wszystkich zamówień wsi, gdyż w pierwszym rzędzie zaopatrywane są biblioteki wojewódzkie i powiatowe, na wieś z braku dosta-

tecznej liczby literatury poczytnej, atrakcyjnej, najczęściej trafiają książki mniej wartościowe, nie cieszące się popytem wśród młodzieży.

Troska o rozwój czytelnictwa wśród członków ZMW leży w gestii wszystkich instancji i aktywnie kulturalno - oświatowego Związku. W organizacji istnieje funkcja społecznego organizatora czytelnictwa. W oparciu o wnioski V Krajowej Rady Czytelniczej, która odbyła się w 1967 roku w Warszawie, organizatorzy czytelnictwa powołani zostali w skład Zarządów Gromadzkich ZMW na terenie całego kraju. Są to ludzie, którzy pełnią rolę łącznika pomiędzy kołami ZMW, a biblioteką gromadzką. VI Krajowa Narada Czytelnicza, która odbywała się w Krakowie w 1968 roku dokonując wstępnej analizy ich pracy uznała, iż jest to funkcja potrzebna, i że przy właściwym doborze społecznych organizatorów czytelnictwa, ludzie ci wspólnie z bibliotekarzami mogą dokonać prawdziwego przełomu w pracy punktów bibliotecznych, jak i zainteresowaniu kół ZMW problemami czytelnictwa. Zarząd Wojewódzki ZMW w Rzeszowie doceniając rolę społecznego organizatora czytelnictwa, przyjął zasadę, iż będą oni wybierani również w skład zarządów kół ZMW. Zarząd Wojewódzki podjął 6-dniowe szkolenia dla gromadzkich organizatorów czytelnictwa, zaś zarządy powiatowe szkoliły aktyw czytelnictwa z kół ZMW na 3-dniowych seminariach. Osobiście kierowałem pięcioma sześciodniowymi kursami dla gromadzkich organizatorów czytelnictwa, które odbywały się na Uniwersytecie Ludowym we Włodzowie i z przykrością stwierdzam, że efekt tych kursów był niewielki. Tylko nieliczni uczestnicy swoim zaangażowaniem i poziomem intelektualnym zapewniali, że spełnią powierzone zadania. Pozostali — to ludzie przypadkowi, nieprzygotowani do prowadzenia działalności popularyzatorskiej. W kursach brało udział kilku pracowników bibliotek wiejskich — członków ZMW, którym bez potrzeby powierzono funkcję społecznego organizatora czytelnictwa, gdyż należy to do zakresu ich obowiązków służbowych.

Reasumując, rola społecznego organizatora czytelnictwa nie znalazła jeszcze odpowiedniej rangi w kole czy Zarządzie Gromadzkim ZMW. Obowiązki te mogą sprawować ludzie dysponujący odpowiednim zasobem wiedzy i obdarzeni zdolnościami organizatorskimi. Dotychczasowe doświadczenia organizacji w zakresie popularyzacji czytelnictwa na wsi oraz wyniki badań prowadzonych przez Bibliotekę Wojewódzką, posłużyły jako materiał do dyskusji na wspólnym posiedzeniu Komisji Propagandy i Komisji Kultury ZW ZMW. M. in. podjęto wnioski, aby zwołać powiatowe sejmiki czytelnictwa z udziałem bibliotekarzy gromadzkich i wiejskich oraz społecznych organizatorów czytelnictwa z zarządów gromadzkich i kół ZMW. Pierwsze tego typu imprezy, o których bardzo pozytywnie wyrażał się na łamach „Widnokregu” m. in. Zdzisław Daraż — dyrektor WIMBP — odbyły się w Sa-

noku, Krośnie, Rzeszowie i Mielcu. Myślą przewodnią sejmików jest określenie wspólnych zadań bibliotek i kół ZMW w zakresie rozwoju czytelnictwa na wsi oraz ustalenie form i metod wspólnego działania na rzecz popularyzacji książki i prasy.

Szkoda, że nie wszystkie powiaty zorganizowały te pożyteczne imprezy. Pożyteczne, bo zacieśniają więź aktywnie kulturalno - oświatowego ZMW z bibliotekami, że ustalają odpowiedzialność organizacji społecznej i placówki k.o. za rozbudzanie zainteresowań książką wśród młodzieży.

W dniach 18—19 grudnia, w sali balowej zamku łańcuckiego toczyć się będą obrady VII Krajowej Rady Czytelniczej. Narada ma wypracować dalsze, bardziej skuteczne metody rozwoju czytelnictwa wśród młodych mieszkańców wsi. Toczyć się ona będzie w gronie doświadczonych aktywistów bibliotekarskiego i działaczy kulturalno-oświatowych ZMW z całego kraju.

STANISŁAW KORNAK
SEKRETARZ KOMISJI
KULTURY I OŚWIATY
ZW ZMW W RZESZOWIE

Telewizory dla klubów

Wiejskie kluby, a wśród nich Prasy i Książki „Ruch” odgrywają coraz większą rolę w krzewieniu kultury. Obecnie w województwie rzeszowskim pracuje 403 placówki „Ruch”, w tym w środowisku wiejskim — 334. Większość klubów szczydzi się dobrym wyposażeniem i prowadzi ożywiającą działalność kulturalno-oświatową. Coraz lepiej pracują społeczne rady klubów.

Warto podkreślić, że na wyposażenie klubów Przedsiębiorstwo Upowszechnienia Prasy i Książki „Ruch” wydało w bieżącym roku ponad 3 mln złotych. M. in. zakupiono 33 telewizory i 11 magnetofonów. Natomiast ostatnio z inicjatywy tegoż Przedsiębiorstwa oraz Zarządu Wojewódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej ufundowano dla wyróżniających się klubów nagrody w postaci telewizorów. Ogółem przyznano 26 aparatów.

Specjalnie powołana komisja przyznała je placówkom: w Jasionowie, pow. brzozowski, Borowej, pow. dębicki, Siedliskach i Wójtowej, pow. gorlicki, Sońnicy i Miększym Nowym, pow. jarosławski, Cieklinie, pow. jasielski, Górnic-Zaborzu i Trzebosi, pow. kolbuszowski, Polanie i Żeglach, pow. krośnieński, Wolkowyci, pow. leski, Chodaczowie, pow. leżajski, Wólce Horynieckiej, pow. lubaczowski, Hucisku Jawornickim, pow. przeworski, Maziarni, pow. niżański i Mogielnicy, pow. rzeszowski.

Przekazanie telewizorów nastąpi na regionalnych imprezach organizowanych z udziałem posłów na Sejm, delegatów na IV krajowy Zjazd ZMW oraz przedstawicieli władz powiatowych i zainteresowanych instytucji. Należy sądzić, że cenne nagrody ufundowane z okazji IV Zjazdu ZMW, zostaną właściwie wykorzystane w pracy kulturalnej i wychowawczej, którą prowadzą wiejskie kluby.

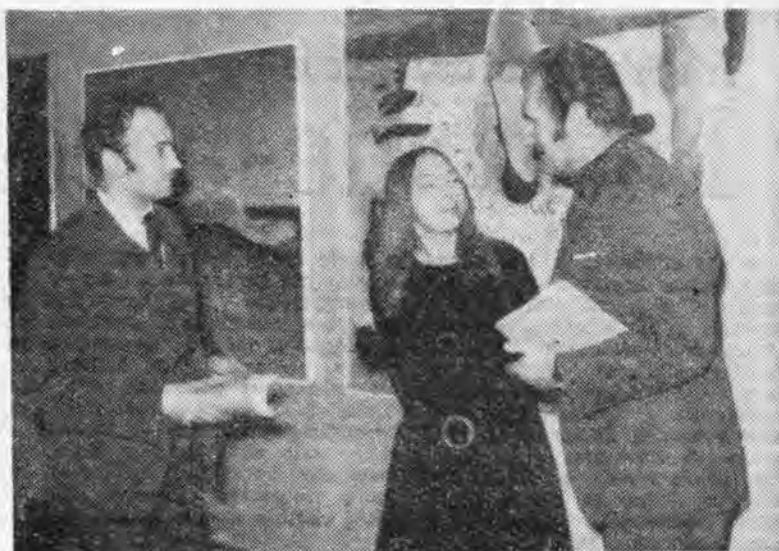
(ap.)



18 i 19 bm. w zamku łańcuckim odbędzie się VII Krajowa Narada Czytelnicza.
Fot. M. KOPEC

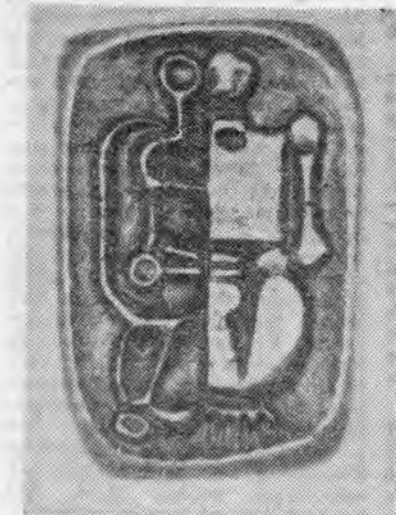
III JESIENNE KONFRONTACJE

W rzeszowskim Domu Sztuki otwarto przed tygodniem Ogólnopolską Wystawę Malarstwa „III Jesienne Konfrontacje”. Wzięło w niej udział około 60 artystów z całego kraju. Jak już pisaliśmy w „Nowinach Rzeszowskich” jury konkursowe Konfrontacji przyznało złoty medal i I nagrodę Lechowi KUNCE z Łodzi za pracę „Atomy miłości”, srebrny medal i II nagrodę Zygmuntovi CZYŻOWI z Rzeszowa („Król szachowy”) i brązowy medal oraz III nagrodę Oldze SAMARSKIEJ z Warszawy („Kobieta na plaży”). Ponadto wyróżniono ex aequo 6 malarzy, m. in. Józefa Gazdę i Stanisława Kucię z Rzeszowa. WKZZ w Rzeszowie również wyróżniła dwie prace za podjęcie tematyki pracy — Benona Liberskiego z Łodzi i Janiny Ożóg-Czarnowskiej z Rzeszowa. Gratulujemy z tej okazji rzeszowskiemu środowisku plastyków, które zdobyło aż 4 nagrody i wyróżnienia na ogólną ilość 11. Również laureatka III nagrody — Olga Samarska zaczynała swą pracę w rzeszowskim środowisku twórczym razem z grupą XIV i dopiero po kilku latach przeniosła się do Warszawy.



Laureaci trzech głównych nagród „III Jesiennych Konfrontacji” w Rzeszowie. Od lewej: Zygmuntovi Czyż — II nagroda, Olga Samarska — III nagroda, Lech Kuńka — I nagroda.

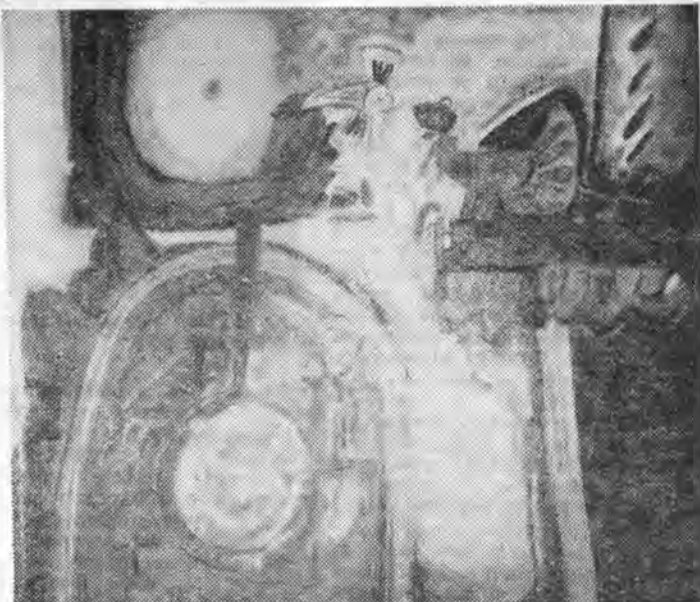
Lech Kuńka z Łodzi — złoty medal i nagroda.



Medal pamiątkowy z okazji „III Jesiennych Konfrontacji”.



Zygmuntovi Czyż — praca odznaczona srebrnym medalem i nagrodą.



Stanisław Kucia — praca wyróżniona
Fot. M. KOPEĆ

alnictwa. Tedy, mimo że ich wyniki są doskonałe, to doświadczenie nie stało się własnością wszystkich muzeologów. W tej chwili muzea w naszym województwie mają już taką obsadę personalną, że obozy mogą być obsadzone własnym personelem prawie w całości.

Wspomniałem powyżej, że w czasie badań dokonano zdjęć filmowych oraz nagrań magnetofonowych. Nowoczesny sprzęt nie tylko przyspiesza badania, ale wiele zjawisk dokumentuje bezbłędnie. Niestety, Muzeum Okręgowe w Rzeszowie, nowoczesnego sprzętu, jak magnetofonów reporterskich oraz kamer filmowych nie posiada. Gdy chcemy przeprowadzać badania w sposób nowoczesny, musimy wypożyczać go u osób prywatnych.

Na zakończenie sugestii, wypływająca ze stanu faktycznego, a wychodząca nie tylko od autora niniejszego felietonu, ale również od uczestników „obozów”. Długotrwałe badania kompleksowe wielu z nich nazywa „wielką przygodą”, raz po raz bowiem dokonuje się frapujących odkryć. Wiadomo bowiem, że wszelkie odkrycia należą do wielkich przygód. Wspominałem o białych plamach. I tu źródło sugestii; żeby badania zespołowe odbywały się przynajmniej dwa razy w roku. Zresztą, coś podobnego miało już miejsce w przeszłości. Owoce będą nowe odkrycia, nowe wartości, które będzie można włączyć do skarbcza narodowej kultury.

Wreszcie — trochę jakby na marginesie. Jednym z najciekawszych i najbardziej obrzędowych o charakterze społecznym, wyjątkowo nasilonym w Przeworskiem są tzw. t u r k i. Jest to obrzęd najprawdopodobniej echem walk chłopskich z Tatarami, często zwycięskich. Uczestnicy ostatnich badań sugerowali, aby ten obrzęd stał się taką imprezą kulturalną, jak np. konkursy na słynne szopki krakowskie w Krakowie na wielkim rynku. I coś na wzór Dni Pogorza lub folklorystycznych imprez w Bieczu.

Rzeszowszczyzna w latach międzywojennych i jeszcze przed I wojną światową należała do tych regionów Polski, który dał stosunkowo najwyższy ruch wychodźczy tak sezonowy, jak i stały. W ciągu niespełna 100 lat odplynęła z ziemi rzeszowskiej w poszukiwaniu chleba ogromna masa emigrantów. Jak wyglądał ruch emigracyjny z Rzeszowszczyzny w cyfrach, bliżej określić się nie da ze względu na brak konkretnych materiałów źródłowych. Ogólna liczba emigrantów z terenów całej Polski w latach 1918—1939 wynosiła około 1 100 000. Kraje, do których najczęściej kierował się główny nurt wychodźczy z krajów zaś pozaeuropejskich to Belgia, Niemcy, Dania, Rumunia, zaś z krajów pozaeuropejskich to Stany Zjednoczone, Kanada, Argentyna, Brazylia. U podstaw ruchów emigracyjnych przede wszystkim leżały momenty ekonomiczne. Dość duże przeludnienie wsi związane z wadliwą strukturą rolną Polski, a to nierównomierny podział własności rolnej, czego charakterystyczną cechą była ogromna ilość małych, karłowatych gospodarstw rolnych, niezdolnych wyżywić właścicieli i członków ich rodzin

Pierwsi Rzeszowiaczy pod Krzyżem Południa

Brazylia obok Francji, Niemiec, Danii, Belgii, Rumunii, Kanady czy Stanów Zjednoczonych stanowiła kraj, do którego kierował się duży nurt polskiej emigracji zarobkowej, począwszy już od początku XIX wieku, który szczególnie wzrósł pod koniec XIX wieku, zwłaszcza że w latach 1891—1899, kiedy to masowe wychodźstwo z zaboru austriackiego, a wśród nich i z Rzeszowszczyzny utworzyło łańcuch polskich osad w promieniu 100 km od Kurytyby. W roku 1899 tylko w samym stanie Parana było około 30 tys. Polaków. Stan ten w Brazylii był głównym terenem polskiej emigracji. Poza Parana większe skupiska polonijne można spotkać w Rio Grande do Sul, Sao Paulo, Santa Catarina i Rio de Ja-

neiro, gdzie obok osadnictwa rolnego przybyło po II wojnie światowej z Anglii po rozwiązaniu Polskich Sił Zbrojnych około 8 tys. Polaków. Obecnie liczba Polaków w Brazylii wynosi około 400 tysięcy. Rzeszowiaczy nie należeli wprawdzie do pionierów osadnictwa polskiego w Paranie i w ogóle w Brazylii, gdyż miejscowe źródła

Emilian Bliźniak

Z Rzeszowszczyzny do Brazylii

brazylijskie notują ślady pierwszych osadników polskich już około roku 1824, to jednak w pół wieku później przyjeżdżają do Brazylii pierwsi emigranci z Rzeszowszczyzny, z powiatu gorlickiego i jasielskiego. Początki osadnictwa Rzeszowiaczków w Paranie związane są z osobą emigranta z Tarnowa — Eugeniusza Bendaszewskiego, wielkiego spryciarza i człowieka interesu, który na założonej przez siebie spółce kolonizacyjnej z udziałem 2 Parańczyków — Alveza i Periera chciał zrobić świetny interes

On to właśnie w 1875 roku wrócił do rodzinnej Małopolski, gdzie przy pomocy konserwatywnych posłów Koła Polskiego w parlamencie wiedeńskim uzyskał odpowiednie zezwolenie na prowadzenie działalności werbunkowej w powiatach: tarnowskim, gorlickim i jasielskim. Odpowiednio prowadzona akcja propagandowo-werbunkowa poparta przywilejowaną z Brazylii walizką pomarańcz dzielenych pomiędzy chłopów wyrażających zgodę na wyjazd, dała ocze-

kiwane rezultaty. Pierwsza grupa 1,274 osadników polskich z powiatów: gorlickiego i jasielskiego zwabiona przez agentów Bendaszewskiego mirażem „Ziemi Obiecanej”, wyładowała w porcie Parangua na wiosnę 1876 roku. Wraz z przybyciem do Brazylii rozwił się szybko u emigrantów obraz obiecane-go brazylijskiego eldorado. Benda-

szewski próbował skolonizować przy ich pomocy niezdrowe klimatycznie nadmorskie okolice Serra do Mar.

Na skutek głośnego protestu ze strony emigrantów, zainteresował się nimi rząd parański, dzięki czemu zostali oni osiedleni na nowej kolonii Tomas Coelho w pobliżu Araucaria, 18 km od stolicy stanu Parana — Kurytyby. W podobny sposób poprzez pośrednictwo Bendaszewskiego przybyli do Brazylii następne grupy gorlickich i jaślan, w sumie około 3 850 osób, którzy osiedlili podkurytybskie kolonie: Orleaes, Dom Pedro, Dom Augusto, Rivleire, S. Inacio, otaczając Kurytybę od zachodu, północy i wschodu wieńcem kolonii polskich. Chłopi polscy spod Gorlic, Biecza i Jasła, jak piszą w swojej książce „Ślady Piasta nad piniorami” (1961 r.), znany poeta, publicysta i działacz polonijny w Brazylii Wojciech Breowicz — okazali się elementem nadzwyczaj wartościowym, prężnym i samodzielnym. Już wkrótce zaczęli kolonizować sąsiednie municypia.

Zwarty typ polskich kolonii oraz dobrze prowadzona praca kulturalno-oświatowa wśród brazylijskiej Polonii pozwoliła polskim kolonistom zachować odrębność narodową i oprzeć się wiekowemu zębowi asymilacji. Dzisiaj najmłodsze pokolenie Polaków w Brazylii czuje się nie tylko Polakami, lecz również pamięta o wkładzie polskich emigrantów w kształtowanie historii dzisiejszej Brazylii. Świadczy o tym chociażby kartka z życzeniami świątecznymi i noworocznymi przesłana przez dr Bronisława Breowicza — syna wspomnianego już wyżej Wojciecha Breowicza do rodziny swojego ojca w Osobnicy, pow. Jasło, w której czytamy: „Przesyłając serdeczne życzenia Wesołych Świąt i pomyślnego Nowego Roku 1969, nie sposób nie wspomnieć, że właśnie mijają 100-lecie osadnictwa polskiego w Paranie”.

Szpital w Santa Laurence d'Oeste

Małe miasteczko Santa Laurence d'Oeste niedaleko Kurytyby, znane jest nie tylko Polonii w Stanie Parana, lecz również w innych stanach, a to dlatego, że mieści się tu szpital dr Breowicza, w którym leczą się Polacy niemal z całej Brazylii. Ten młody, bardzo zdolny, niezwykle energiczny lekarz poszedł w ślady swego ojca, społecznika i z pobudek czysto patriotycznych, założył dla potrzeb ludności polskiej własny prywatny szpital. Mogą tu znaleźć pomoc i poradę lekarską nie tylko Polacy, dobrze sytuowani materialnie, ale również rodacy, którzy nie mają pieniędzy na zapłacenie leczenia szpitalnego. Tych dr Breowicz leczy za darmo. Bezpłatnie również w wielu wypadkach udziela porad lekarskich w czasie wizyt domowych polskich kolonistów. Szpital dr Breowicza poprzez kontakty z chorymi jest tym ogniwem łączącym wszystkie polskie kolonie nie tylko w Stanie Parana, ale prawie w całej Brazylii. Oby ta piękna inicjatywa społeczna była przykładem dla wszystkich środowisk polonijnych na całym świecie.

Ze studiami zaocznymi zetknąłem się kilkanaście lat temu, gdy pomyślnie zdałem egzamin wstępny na historię w jednej z państwowych wyższych szkół pedagogicznych. Kraj odczuwał wówczas brak kadr kwalifikowanych, zwłaszcza na poziomie wyższym. Wiadomo, terror okupanta hitlerowskiego ugodził w pierwszym rzędzie w polską inteligencję. Nie bez znaczenia dla późniejszych trudności kadrowych było i to, że pewne kręgi ocalałej inteligencji zajęły wobec nowej władzy stanowisko wyczekujące lub wręcz opozycyjne. Dlatego, to już problem oddzielny.

Z konieczności mnóstwo stanowisk, w warunkach ustabilizowanych wymagających wykształcenia, zajmowali ludzie, o których mówiło się wówczas, że są inteligentami z awansu społecznego. Nie jeden z nich (a może należałoby powiedzieć — nie jeden z nas) swoją postawą, wypowiedzią czy decyzją nadawał epoce znamiona obskurantyzmu, no bo jak ocenić faceta, który zwywał przed oblicze władzy Szymonowicza, gdyż nie spodobały mu się „Żelcy”. Lecz, co by za dziś nie powiedzieć, o tych czasach, to jednak uczeni pamiętnikarzem, nie mówiąc o badaczach, musi dostrzec, że właśnie wówczas programowo podnoszono społeczną rangę wiedzy, wzywano do nauki.

W przyspieszonym tempie szkolono kadrę techniczną, ale pierwszym był resort oświaty, który na tak szeroką skalę rozwinął studia dla pracujących. To była k o n i e c z n o ś ć, a równocześnie s z a n s a dla tysięcy ludzi, którzy tylko tą drogą mogli zdobyć wykształcenie. Nie byłem wtedy czynnym nauczycielem, praktycznie w uczelniach innego typu nie mogłem studiować zaocznie, a studiować chciałem koniecznie.

Ci, którzy podjęli naukę, stacjonarnie lub zaocznie, otrzymali na drogę błogosławieństwo, byli stawiani za wzór innym. Owszem, nie brakowało zawistnych, maipio złośliwych, co dla jednostek mogło oznaczać nawet klęskę, ale generalnie rzecz biorąc liczyła się a t m o s f e r a: u c z y ć s i ę... Hasło to traktowano tak poważnie, że w wypadku samokrytyki delikwent za genezę swoich grzechów (nawet jeśli chodziło o wódkę i dziewczynki) uznawał nieuczucie się: „To dlatego, koledzy, że się nie uczyłem...”

Atmosfera na uczelniach była

wówczas różna; spora część kadry naukowej nie wierzyła w powodzenie eksperymentu łączenia pracy zawodowej z nauką. Nie przywiązywano też wagi do metodyki pracy z dorosłymi, co długie lata było podstawowym mankamentem studiów dla pracujących. Utkwił mi w pamięci starszek profesor, który monotonnym głosem czytał maszynopis niewydanego podręcznika akademickiego (maszynopis ten podstępnie zdobyliśmy,

Julian Grądalski

„Słowiki” po zaocznym konserwatorium?!

powielił i mieliśmy się z czego uczyć); kończąc cykl wykładów, jako lekturę uzupełniającą, jednym tchem wymienił mnóstwo książek, z których kilka nie przełożono na język polski. Na uwagę, że nie znamy ani greki, ani łaciny, odpowiedział:

— Proszę państwa, za moich czasów studia podejmowali ludzie z maturą, a kto miał maturę, ten znał język Homera i Seneki...

Aby u tego sędziwego historyka starożytności zdać egzamin trzeba była opanować materiał; był odporny na głębokie dekolty kobiet i łyzy pracujących matek, ale egzaminując nikogo nie krzywdził, choć nie wierzył w studia zaoczne. Wymagał od nas wiadomości, zawód naukowca traktował, jako posłannictwo, wiedzę jako najwyższą wartość. Żywił wobec Niego głęboki szacunek, czego nie mogę powiedzieć o innych pracownikach nauki, zwłaszcza tych, z którymi męczyłem się pisząc pracę magisterską z historii najnowszej. Dyplom ten uzyskałem w kilka lat później na innej uczelni, gdyż zasadnicza służba wojskowa przerwała mi studia w wyższej szkole pedagogicznej.

To co teraz powiem wydać się może nieologiczne. Po epoce „nie matura, lecz chęć szczerą...”, po epoce „uczenia się na błędach” nastąpiła epoka uczenia się na uniwersytetach; zaczęto wymagać, w niektórych resortach bardzo rygorystycznie, kompetencji merytorycznych,

potwierdzonych dyplomem. Studia zaoczne stały się bardzo popularne i właśnie wówczas pojawiły się niespotykane dotąd kłopoty studiujących, przede wszystkim w miejscu pracy. Studiujących obawiali się ci, którzy wykształcenia nie mieli, nie cenili dyplomu tą drogą zdobytego absolwenci studiów stacjonarnych. Kursował wówczas do wciop o wróble, który — mówiono — jest też słowikiem, tylko po zaocznym konserwatorium.

Np. w moim mieście nie był uznany nikt, którego gęby nie widziano tu co najmniej 10 lat przed wojną, no bo, panie dziejów, co wartają te dzisiejsze uniwersytety; tepili młodych i wykształconych tak, jak tępi się konkurencję.

Pomnę wiele drastycznych przykładów, wspomnę jednak o moim szefie. Był to facet, który zawsze żeglował z wiatrem. W sprawozdaniach pisał, że 25 proc. stanu osobowego instytucji

wanie dla egzaminu, ale samodzielne poszukiwania, myślenie, tworzenie. Nie będę pisał szczegółowo o kłopotach, jakie były moim udziałem; wspomnę tylko, że moją pracą badawczą kierowała pani magister, która od 10 lat robiła doktorat, a ja, frajer, wygadałem się, że gromadząc materiał do pracy magisterskiej myślę o ewentualnych studiach doktoranckich. To nieodosobniony wypadek, że ludzi dorosłych powierzano podrzędnym pracownikom naukowym. Pracę obroniłem, znany historyk wysoko ją ocenił, ale moja opiekunka zdążyła obrzydzić mi historię; na prywatny użytek zacząłem studiować socjologię.

Tematy prac były z reguły podporządkowane planom badawczym katedr lub tematów dysertacji promotorów. W związku z tym wielu studiujących zaocznie było niejako z góry skazanych na złe prace magisterskie. Podać przykłady: nauczyciel mieszczący blisko 400 km od Warszawy otrzymał temat wymagający kilkuniesięczonej kwerendy w stołecznych archiwach; archiwalia te były potrzebne promotorowi do jego dysertacji. Pracownik dużego przedsiębiorstwa przemysłowego pisał o przestępczości w województwie, podczas, gdy oficer milicji, studiujący na tej samej uczelni, musiał zająć się samorządem robotniczym we wspomnianym wyżej zakładzie. O samorządzie pisał też pracownik banku, a oficer WP badał dynamikę oszczędzania w PKO. Obydwaj studiowali na tej samej uczelni. Tak powstawały złe prace magisterskie, które w żadnym wypadku nie były ukończonymi kilkuletniego cyklu kształcenia. Zaryzykowałbym twierdzenie, że wielu magistrantów zaocznych w najlepszym wypadku zgromadziło materiał swym promotorem (na studiach dziennych temu celowi służą praktyki studenckie; spędzając miesiące w archiwach stołecznych widziałem młodych ludzi grzebiących w aktach, sporządzających fiszki dla pracowników nauki).

studiuje zaocznie, że kierownictwo otacza ich opieką, zachęca do wytrwałości itp. Te 25 proc. to ja, bo instytucja, pomijając sprzątaczkę, liczyła cztery osoby. Nie powiem, życzliwie odnosił się do moich studiów, gratulował mi każdego egzaminu, oferował książki ze swej biblioteki. Nagle szef zaczął mi obrzydzić życie, przed egzaminami wysyłał w teren, wieloma innymi sposobami utrudniał naukę. O przyczynie dowiedziałem się po paru latach; koledzy i zwierzchnicy mojego szefa, z nudów zakpiłi sobie z niego; powiedzieli mu, że będzie musiał dla mnie zwolnić stanowisko, bo nie wypada, aby zwierzchnikiem magistra był człowiek bez średniego wykształcenia.

Zarabiałem 1800 zł, nauka kosztowała mnie nie mniej niż 500 zł miesięcznie (zwracano mi za pociąg osobowy, choć do Warszawy kursował tylko pośpieszny, sporo kosztowały noclegi, jeszcze więcej książki). Lata studiów były latami wyrzeczeń i niedostatku, nie istniało życie towarzyskie, brakowało czasu na kino i literaturę piękną. Ładowało się wiadomości do głowy, by po egzaminie szybko o nich zapomnieć i przygotować miejsce na nową porcję mądrości. Studia zaoczne były właściwie wkuwaniem i zdawaniem egzaminów; zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że w pewnym sensie powodowały regres intelektualny, bo jak już powiedziałem nie było czasu na kino, teatr czy beletrystykę. Człowiek jakby dziwaczał, nie mówiąc już o stanie nerwów i w ogóle zdrowia; zanim zdobyłem dyplom miałem nerwicę, anemię i wrzody na dwunastnicy.

Wielu, zbyt wielu załamało się, niektórych, co tu ukrywać, zrazili egzaminatorzy. Znałem docenta, który podczas jednego egzaminu oblał 90 proc. zdających; tak pytał, że wynik egzaminu był losem szczęścia. Inni jeszcze gorzej traktowali studiujących zaocznie, np. 40-letni student jedzie nocą 400 km, bo ma wyznaczony egzamin na 9; o 14 zjawia się dwudziestoparoletni adiunkt i mówi: — Dziś niemam dla panów czasu, proszę się zgłosić za dwa dni o 17, w moim instytucie, przy ulicy...

To jeden z wielu incydentów; może dlatego, iż wielu studiujących zaocznie robiło składki, zapraszało pracowników naukowych do swego miasta na konsultację. Studiujący dyrektorzy opłacali te konsultacje z funduszu szkoleniowego, z reguły pracownik naukowy, wygłaszał jeszcze odczyt dla załogi, był przewożony i odwożony samochodem służbowym. Z czasem te korepetycje kończyły się obiadem lub nawet polowaniem. Wszystko właściwie legalnie, często solidny, uczciwy pracownik naukowo-dydaktyczny nie wiedział nawet kiedy został zneutralizowany.

Dla mnie osobiście faktyczne studia zaczęły się z chwilą otrzymania tematu pracy magisterskiej. Twierdząc, że właśnie pracą dyplomową jest sprawą najważniejszą, bo to już nie wku-

Pilnie poszukiwani

(Ciąg dalszy ze str. 5)

za pracę (w warsztatach), które przelewane są na książeczki PKO. Dzięki temu absolwent wychodzi nie tylko z dyplomem ale i z... majątkiem niekiedy kilku i kilkunastu tysięcy złotych! Pewna gwarancja intratnej pracy, możliwości dalszego kształcenia i zaspokojenia ambicji — powinno być wystarczającym bodźcem w podjęciu decyzji.

A jednak? Pisaliśmy na początku o czynnikach hamujących zainteresowanie ZSZ. Z tymi kłopotami szkoły zawodowe będą się jeszcze chyba długo borykać.

Wydaje się, że gdyby przeformowano koncepcję, (która zrodziła się w Kuratorium Okręgu Szkolnego i rzeszowskich środowiskach ZSZ) — o dwustopniowości nauczania — istniałaby duża szansa wyjścia z tego impasu. Wtedy każdy kandydat na technika musiałby przejść szkolenie zasadnicze; co odciążałoby ZSZ od uprzedzeń (byłoby koniecznym etapem) i w tej „selekcji” wyodrębniłby się robotnicy kwalifikowani jak i kandydaci do techników.

Z tą różnicą, że ci ostatni znaliby zapewne lepiej — niż dotąd — fach od strony praktycznego przygotowania.

JUSTYNA WOŚ



Radiotelefony z warsztatu szkoleniowo-produkcyjnego ZDK w Rzeszowie mają już ustaloną w kraju renomę.

Foto — CAF A. ŁOKAJ

POLEMIKI ● DYSKUSJE ● KORESPONDENCJE ● POLEMIKI ● DYSKUSJE

Głosy w dyskusji o kulturze studenckiej

CIEŃ I BLASKI

Co robić

Sporowokowana przez pana Romera dyskusja o studenckiej kulturze, nabiera coraz to większego temperamentu nie tylko na łamach „Widnokręgu”.

Po przeczytaniu artykułu pana Teodorczyka, analizującego sytuację KULTURY na WSI, zadaniem i ja sobie pytanie: jak wygląda tzw. ukulturalnianie się przyszłych inżynierów.

Aby nie być gołosłowny przeprowadziłem wśród studentów mikroankietę. Każdemu z moich rozmówców zadawałem pytania dotyczące ilości przeczytanych książek beletrystycznych, częstotliwości uczęszczania na koncerty symfoniczne, do teatru itp.

Wyniki mikroankiety okazały się szokujące. 30 proc. ankietowanych nie czyta wcale książek beletrystycznych, pozostali, owszem czytają — kryminały i tygrysy. Do teatru raz na dwa miesiące chodzi 10 proc., a na koncerty symfoniczne tylko kilka osób uczęszcza systematycznie, tj. dwa razy w miesiącu.

Prawie każdy z indagowanych swoje „ubóstwo kulturalne” tłumaczył brakiem czasu i małą operatywnością komisji kultury RU ZSP. Istotnie, z czasem na odpowiedzialność nauczelnicy jest naprawdę krucho. 70 godzin wykładów i ćwiczeń tygodniowo, a często nawet więcej, samodzielna praca w domu, dojazdy na uczelnię, do stołówki, czy wreszcie fizjologicznie potrzebny sen, często bez reszty pochłaniają szybko upływające godziny i dni.

Szukając potwierdzenia oskarżeń pod adresem Komisji Kultury, udałem się do Rady Uczelnianej. Jak było do przewidzenia, zarzuty moich rozmówców okazały się nieprawdziwe. Na podstawie przytoczonych mi faktów muszę stwierdzić, że ZSP robi bardzo dużo, aby przyciągnąć studentów do KULTURY. Organizowany jest zbiorowy udział w spektaklu teatralnym (nowe premiery), na koncerty symfoniczne, do DKP itp.

uczelnicy odczuwają się brak działaczy studenckich. Szczególnie źle jest pod tym względem w klubie „WUESIK”. Obecnie w Radzie Klubu pracuje tylko kilka osób, co zakrawa wprost na kpiny.

Często słyszę na uczelni narzekania na chimeryczną i małoatrakcyjną działalność klubu. Pytam więc tych wszystkich „braci śpiących”, jak w takich warunkach klub może rozwinąć normalną działalność. Na odczyt lub spotkanie nierazko dotyczących samych studentów, trzeba ich po prostu siłą ściągać z pokojów.

Brak zainteresowania się studenta życiem uczelni przejawia się na każdym kroku. Najlepszym tego przykładem były wybory do Rady Uczelnianej ZSP, podczas których na sali obrad brakowało ponad 20 proc. delegatów uprawnionych do głosowania.

Czyżby więc nie istniało życie kulturalne na WSI? Szukając śladów działalności kulturotwórczej na uczelni natknąłem się na ogłoszenie o następującej treści: Klub Muzyki Poważnej „Pro Musica” zaprasza na koncert współczesnej muzyki radzieckiej, który odbędzie się w śróde w „Wuesiku”.

Zacznę od klubu „Pro Musica”. Złożony został w marcu 1969 r. przy DS „Promień”, jako trzydziesty tego typu klub w kraju.

Artykuły Huberta Romera „W poszukiwaniu kultury studenckiej” i głos w dyskusji Tadeusza Wojnara. „Nie samym chlebem”, niewątpliwie interesujące, skłaniają do zadumy. Mamy w Rzeszowie cztery wyższe uczelnie, na których kształcą się około czterech tysięcy studentów, a rzeszowskich „zaków” słyszy się, lub widzi tylko z okazji, fatalnych organizacyjnie, „Juwenaliów”.

Jednostkom, na które powołuje się pan Tadeusz Wojnar, np. Ania Żebrowska, Celina Karcz-Zabrowska, czy Mariusz Kułpa, obdarzonym niewątpliwie talentem, rzeszowskie środowisko studenckie chyba niewiele pomogło. Ich artystycznych sukcesów środowisko nie powinno zapisywać na swoje konto.

Praca kulturotwórcza grupki „zapaleńców” spotyka się z murem obojętności, nie ma społecznego zapotrzebowania na ambitną rozrywkę kulturalną i różne są tego przyczyny.

W tym roku skład osobowy teatryku uległ zmianie. Z powodu ukończenia studiów Henryk Borowiec i Stanisław Białek odeszli, ale na ich miejsce pojawiły się nowe twarze, jak Maria Hadło, Andrzej Ciepeliński i Andrzej Malec.

Nowym, pozytywnym, kulturotwórczym elementem jest powstałe międzyuczelnianego zespołu pieśni i tańca. Pod okiem wykwalifikowanego instruktora zespół odbywa próby w każdy poniedziałek i czwartek w „Wuesiku”.

EDWARD CELAB

Artykuły Huberta Romera „W poszukiwaniu kultury studenckiej” i głos w dyskusji Tadeusza Wojnara. „Nie samym chlebem”, niewątpliwie interesujące, skłaniają do zadumy.

Jednostkom, na które powołuje się pan Tadeusz Wojnar, np. Ania Żebrowska, Celina Karcz-Zabrowska, czy Mariusz Kułpa, obdarzonym niewątpliwie talentem, rzeszowskie środowisko studenckie chyba niewiele pomogło.

Praca kulturotwórcza grupki „zapaleńców” spotyka się z murem obojętności, nie ma społecznego zapotrzebowania na ambitną rozrywkę kulturalną i różne są tego przyczyny.

Powstanie jednej, lub paru grup kulturotwórczych nie zmieni „senną”, czy też zupełnie „śpiącą atmosferkę” studenckiego środowiska.

Któryś z działaczy mógłby mi odpowiedzieć, że owszem, były organizowane spotkania z ciekawymi ludźmi, na które przychodziło niewiele ponad dziesięć osób, były np. wieczory muzyczne, na których frekwencja była jeszcze mniejsza.

Jak więc wygląda reklama w studenckim wydaniu?

Najczęściej jest to arkusz papieru formatu A-4, lub A-3, wywieszony w hallu uczelni i DS-u, na którym nie zawsze czytelnymi literami wypisano np.:

„W dniu 17 bm. w klubie „Wuesik” odbędzie się o godz. 20.00

wieczór muzyki rosyjskiej i radzieckiej”.

Czasami jest jeszcze dopisane: „Prosimy o liczne przybycie”. Najprawdopodobniej tego typu informacja wystarcza, jeśli chodzi o wieczorek taneczny, gdyż i tak w każdą sobotę i niedzielę przed obydwooma klubami gromadzą się amatorzy epileptycznych piasów na parkiecie.

Nie będę wysuwał konkretnych postulatów, gdyż jestem pewien, że po przedyskutowaniu zrobią to lepiej sami studenci.

Absolutnie WSI może być dobrym fachowcem i nie wiedzied w ogóle o istnieniu Fiodora Dostojewskiego, czy J. P. Sartre’a, tak jak absolutnie WSP może być dobrym pedagogiem i nie mieć pojęcia o istnieniu teorii względności.

Ten właśnie problem chciałbym tu poruszyć. Jak dowodzi głosny swego czasu finał quizu, na którym przed kamerami telewizyjnymi studenci Politechniki Gdańskiej popisali się zupełnym dyletantwem, problem ten dotyczy tylko środowiska rzeszowskiego.

Powinno być inaczej, nie musimy chyba dodawać, że sytuacja w innych środowiskach wcale nas nie rozgrzesza. Być może, nie stać nas jeszcze na teatr studencki, który mógłby równać się z STS-em, czy kabaretem dorównujący „Hybrydom”. Stać nas jednak na pewno na dobrą pracę w klubach, na ciekawe i pożyteczne inicjatywy.

Polemizując zaś z panem Wojnarem nie jestem pewien, czy należy się tak bardzo cieszyć.

Przecież „jedna jaskółka wiosny jeszcze nie czyni”.

MAREK GAJCZOS



Przemysław

Fot. J. MENDYCHOWSKI

WIDNOKRĄG KSIĄŻKI

Eugeniusz Paukšta: WICHRY WŚRÓD KOLUMN, Impresje greckie. Wyd. Poznańskie, s. 298, cena zł 24 (10 tys.). Autor, znany piewca Ziemi Zachodnich Polski, w prezentowanym tomie przedstawia przeszłość i jak sam mówi „często dramatyczną współczesność dawnej Hellady”.

nie pogodniejszymi i łatwiejszymi. (Inne książki tego autora o podobnej tematyce „Sztuka pamiętania” i „Sztuka rozmowy”).

Tarjei Vesaas: PALAC LODOWY. PIW, s. 134, cena zł 15 (20 tys.).

W serii „Proza współczesna” — interesująca powieść jednego z najbardziej wybitnych pisarzy norweskich starszego pokolenia.

Miguel Otero Silva: MARTWE DOMY. NOWE MIASTECKO. Przel. Z. Wasitowa. PIW, s. 302, cena zł 25 (15 tys.).

W tej samej serii powieść wybitnego pisarza wenezuelskiego. Część pierwsza jest wstrząsającą opowieścią o niedzy życia pewnego miasteczka.

Władysław Dunarowski: WESELENI GOSCIE. Wyd. Łódzkie, s. 204, cena zł 12 (4 tys.).

Nowy tom opowiadań znanego pisarza, u którego w centrum uwagi znajduje się człowiek i jego przeżycia. Dunarowskiemu interesuje przede wszystkim mieszkaniec wsi i cała specyfika wiejskiego społeczeństwa.

Do tworzonych postaci odnosi się z ciepłym humorem.

Jerzy W. Borejsza: SEKRETARZ ADAMA MICKIEWICZA. PIW, s. 458, cena zł 30 (3 tys.).

Jest to biografia Armanda Lévyego, sekretarza Mickiewicza, który pozostał wierny poecie jeszcze po jego śmierci, opiekując się pozostałymi dziećmi, a przede wszystkim biografem ojca — Władysławem.

Henryk Sienkiewicz: NOWELE. PIW, s. 341, cena zł 10 (100 tys.).

W serii książek kieszonkowych PIW-u 9 nowel Sienkiewicza, w których autor podejmuje aktualne problemy społeczne i narodowe.

Karol Bunsch: PRZEŁOM. Wyd. Literackie, s. 456, cena zł 35 (30 tys.).

Jest to wznowienie jednej z powieści piastowskich Bunscha, której tematem jest panowanie Łokietka i jego walki z Zakonem Krzyżackim.

